

Sza! — Odzywa się Żyd o oczach, jak u wołu okrągłych. Przez długi czas siedział w kącie przy oknie i paląc bez przerwy papierosy słuchał opowieści o kradzieżach, rabunkach i napadach.

— Ja wam opowiem piękniejszą historię o kradzieży, która wydarzyła się u nas. Właśnie u nas, tu w bóżnicy, i na dodatek w sam Jom-Kipur. Proszę tylko posłuchać!

Nasza Kasrylewka — a ja pochodzę z Kasrylewki — to małe, biedne miasteczko. U nas nie ma złodziei. U nas nie kradną. Nie ma kogo okradać. Nie ma co kraść. Poza tym Żyd w zasadzie nie jest złodziejem. To znaczy, że owszem, bywają Żydzi-złodzieje, ale nie tacy, co to włożą przez okna, albo zakradają się z nożem w rękę, gotowi zabić. Widzicie, pokręcić, ukręcić, głowę komuś zakręcić, bardzo proszę. Ale żeby włożyć komuś do kieszeni, to nie. Mogą go przecież złapać za rękę, przylepić mu żółtą łatę i poprowadzić po ulicy. Co to, to nie. To Żydowi nie przystoi. To przystoi raczej Iwanowi-złodziejowi. I oto wyobraźcie sobie, że pewnego dnia wydarzyła się u nas w Kasrylewce kradzież. I to jaka kradzież. Za jednym zamachem całe tysiąc osiemset karbowańców.

Na dzień przed Jom Kipur w porze modlitwy mincha przybył do naszego miasta pewien Żyd z Litwy, dostawca rządowy. Zatrzymał się w zajezdnym domu. Zostawił walizkę w pokoju i zaraz udał się do bóżnicy. Trafił do starego Bet-hamidraszu. Wchodzi do środka i zastaje przy „misce” gabajów bóżnicy.

— Szolem alejchem!

— Alejchem szolem! Skąd Żyd przybywa?

— Z Litwy.

— Jak się Żyd nazywa?

— Czy innych kłopotów wasza babcia nie miała?

— Ale pan przyszedł do bóżnicy.

— A dokąd miałem przyjść?

— Pan się chyba chce pomodlić?

— A mam inny wybór? A co innego mógłbym robić?

— No to włoż pan coś do miski.

— A jak inaczej? Za darmo się będę modlił?

Krótko mówiąc nasz gość wyjął trzy srebrne karbowance i włożył je do miski. Ponadto włożył do talerza kantora jeden karbowanec, dla rabina też jeden karbowanec i na rzecz szkoły „Talmud- Tora” również jeden karbowanec. Zaś pół karbowanica włożył do talerza jałmużniczego. Stojącym przy drzwiach żebrakom również rozdał jałmużnę. Tych ostatnich w naszym mieście nie brakuje. Jest ich, bez uroku, tylu, że gdyby chciano wszystkich obdarować, nie wystarczyłby majątek Rotszylda.

Gabajowie, zobaczywszy takiego gościa, natychmiast ustąpili mu „miasta” przy wschodniej ścianie. Zapytacie, skąd wzięli dla niego „miasto” skoro wszystkie „miasta” w bóżnicy są już zajęte? Odpowiedź jest prosta. A skąd biorą się zawsze dodatkowe miejsca na weselach, uroczystościach i na „brysach”. Wszyscy się już rozsiedli przy stole i nagle powstaje zamieszanie. Co jest? Przyszedł bogacz, albo jakaś inna znakomitość. Więc wszyscy siedzący ścieśniają się tak długo i tak szczelnie, aż powstaje wolne miejsce. Ścieśnianie się to żydowska rzecz. Kiedy nikt ich nie ścieśnia, sami się ścieśniają.

Żyd z okrągłymi, jak u wołu oczami, przerywa swoje opowiadanie i obserwuje słuchaczy. Jest ciekaw, jak reagują na jego dowcip. Po chwili ciągnie dalej.

Słowem nasz gość zajął użyczzone mu honorowe miejsce i poprosił szamesa o podanie mu pulpitu. Nasz gość od Kol-Nidre stanął przed pulpitem, nachylił się i włożył na siebie biały kitel i tałas. A jak zaczął się modlić, to przez cały dzień Jom-Kipur ino się modlił. I to na stojąco. Ani na chwilę nie usiadł i ani na chwilę nie odstąpił od pulpitu, chyba tylko przy odmawianiu osiemnastu błogosławieństw albo przy „korim”, kiedy trzeba paść na kolana. Pościć cały dzień, i stać na nogach przez cały czas, i nie usiąść nawet na chwilę potrafi tylko Litwak. Dopiero po modlitwie „nehile i dęciu w szofar, oznaczającym koniec święta, kiedy przystąpiono do powszechnej modlitwy wieczornej maariw i mełamed Chaim-Chune (jemu od lat przysługiwał zaszczyt prowadzenia tej modlitwy) zaintonował: „Hamaariw arowim” — sprowadzający wieczory, rozległ się krzyk: Gwałtu! Gwałtu! Gwałtu! Patrzą, a gość leży zemdłony na podłodze. Oblewają go wodą, cucą, cucą, a on nic. Co się stało? W czym rzecz? Szybko się sprawa wyjaśnia. Litwak miał przy sobie tysiąc osiemset karbowanćców. Zostawić je w zajezdnym domu się bał. Przecież to nie bagatela. Łatwo powiedzieć „tysiąc osiemset”. Komu w obcym mieście można taką sumę powierzyć? Trzymać je w kieszeni też jakoś nieporęcznie. Zastanawiał się więc — jak powiada — przez dłuższą chwilę, po czym cichutko wsunął pieniądze pod pulpit. Litwak potrafi! Teraz już chyba rozumiecie, dlaczego ani na chwilę nie odstąpił od pulpitu. I właśnie wtedy, kiedy przy modlitwie osiemnastu błogosławieństw, odstępował się na krok, albo przy korim, kiedy pada się na kolana, ktoś te pieniądze zwędził.

Jednym słowem, Litwak nie przestawał pomstować, płakać i rozpaczać. Co ma teraz zrobić, kiedy został bez pieniędzy? To są — powiada — obce pieniądze. Nie jego. On jest tylko posłańcem w pewnym kantorze handlowym. Sam jest biedakiem, na domiar, obarczonym licznym potomstwem. Teraz — powiada — nie pozostaje mu nic innego, jak tylko się utopić lub powiesić i to zaraz w bóżnicy, na oczach wszystkich modlących się Żydów.

Usłyszawszy takie słowa, ludzie zamarli. Zapomnieli o tym, że powinni pójść do domu, żeby się pokrzepić. Było nam wstyd przed gościem. Wstyd przed nami samymi. Taka kradzież! Tysiąc osiemset karbowanćców! I to gdzie. W bóżnicy. W starej kasrylewskiej bóżnicy. I kiedy? W Jom.Kipur. Niesłychane! Wtem rozległ się głos rabina Juzipla.

— Szamesie! Natychmiast zamknąć drzwi!

Reb Juzipl, jak wiecie, jest naszym rabinem. Jest to porządny, uczciwy, prawdziwy koszer, że

tak powiem, Żyd. Może nie taki bystry i chytry, ale charakter ma idealny. Jest to człowiek bez żółci. Czasami miewa pomysły, na które wy nigdy nie wpadniecie. Nigdy, nawet gdybyście mieli po osiemnaście głów na jednej szyi.

Kiedy szames zamknął drzwi bóżnicy reb Juzipl blady, jak kreda, zwrócił się do zebranych. Mówi, i ręce mu się trzęsą, i w oczach błyskają mu ognie.

— Posłuchajcie mnie moi panowie. Posłuchajcie mnie szanowni Żydzi! Mamy do czynienia z brzydką sprawą. Odkąd świat istnieje, jeszcze nie zdarzyło się, aby w naszej Kasrylewce znalazł się taki grzesznik, taki heretyk i odstępcą, który by się zdobył na ukradzenie obcemu człowiekowi, ojcu rodziny, takiej sumy pieniędzy. I to kiedy? W taki święty dzień, jak Jom Kipur. I być może, że nawet przed końcową modlitwą „nehile”. Od kiedy świat światem czegoś takiego nie było! Nie mogę uwierzyć, ba, nie mogę sobie nawet wyobrazić, że taka rzecz się wydarzyła. W żaden sposób! A może? Kto wie? Żydzi gotowi są połakomić się na jednego karbowańca, a coś dopiero na taki skarb, tysiąc osiemset karbowańców. Tkwiący w człowieku zły instynkt jest dostatecznie silny. Może któryś z was został przez niego opanowany? Może komuś z was przeznaczone było nieszczęście, żeby dokonać takiego czynu. Jeśli tak, to musimy rzecz dogłębnie zbadać. Musimy się dokopać do samych jej korzeni. Niebo i ziemia są za tym, aby prawda, jak oliwa wypłynęła na wierzch. Dlatego wszyscy musimy się poddać rewizji. Musimy wzajemnie się przeszukać. Niech każdy przetrząśnie i wytrząśnie z kieszeni drugiego całą jej zawartość. Zaczniemy od pierwszego najszacowniejszego obywatela i skończymy na szamesie. Nikt nie może się z tego wymigać. A teraz Żydzi proszę mi przetrząsnąć kieszenie!

Powiedziawszy to reb Juzipl rozpiął opasujący go pleciony sznur i wywrócił kieszenie na drugą stronę. W ślad za nim poszli wszyscy szacowni obywatele miasta. Rozpięli plecione sznury, wywrócili kieszenie i zaczęli nawzajem się rewidować. Wreszcie przyszła kolej na zrewidowanie Lejzora-Josła. I wtedy ten krygując się i przybierając coraz to inną pozę zaczął twierdzić, że gość jest zwykłym oszustem. To znany — krzyczał — chwył Litwaka. To kłamstwo. Czyżbyście nie widzieli, że to dobrze obmyślana gra?

I wtedy tłum podniósł krzyk: Jak to? Wszyscy szacowni gospodarze pozwolili się zrewidować, a on chce się wymigać! Nie ma uprzywilejowanych! Przeszukać go! Zrewidować!

Widząc, że to nie przelewki Lejzor-Josł zaczął błagać o litość. Ze łzami w oczach prosił, aby go zostawiono w spokoju. Zaklinał się na wszystkie świętości, żeby tak wolny był od złego, jak wolny jest od kradzieży. Więc o co mu chodzi? Chodzi mu o to, że dla niego to wstyd. Błaga ich,

aby mieli wzgląd na jego młody wiek i nie rewidowali go. „Róbcie ze mną co chcecie, ale nie przetrząsajcie moich kieszeni”. 1 jak wam się ten łajdak podoba? No i co myślicie? Myślicie, że go posłuchali? Że uszanowali?

Ale teraz proszę o spokój. Zupełnie zapomniałem wam opowiedzieć, kto to jest Lejzor-Josł. Otóż Lejzor-Josł wcale nie pochodzi z Kasrylewki. Czort wie, skąd pochodzi. U nas zadomowił się, jako zięć miejscowego bogacza. Ten się na niego gdzieś podczas podróży natknął i stamtąd go sprowadził. Chwalił się potem, że znalazł dla swojej córki prawdziwy „klejnot”, istną mecyję. Zna na pamięć tysiąc stron gemary. Z tanachem jest za pan brat. Świetny hebraista. Znakomity matematyk. Ułamki wraz z algebrą ma w jednym palcu. Do tego wszystkiego jest doskonałym pisarzem. Jednym słowem obdarzony jest wszystkimi siedemnastoma zaletami. Na wieść, że bogacz sprowadził takie cacko, zeszli się wszyscy mieszkańcy, aby podziwiać to cudo. Na własne oczy chcieli zobaczyć, jaką to mecyję zdobył nasz bogacz. Popatrzyli — młodzieniec wcale niebrzydki, niczego sobie, chociaż nos ma trochę długawy. Oczy pełne żaru. Język ostry, cięty, zjadliwy. Poddano go egzaminowi z gemary, z Rambama (Majmonidesa), z tego i z owego — a ten sukinsyn wszystko umie na blachę. O co go nie zahaczysz, wie, zna, umie. Jest u siebie w domu. Sam reb Juzipl powiedział o nim, że mógłby być rabinem w każdym miejscu żydowskiej diaspory. Nie muszę chyba dodawać, że w dzisiejszych świeckich naukach też jest oblatany, W naszym mieście jest taki uczony wariat, badacz i znawca o imieniu Zajdel. Przy Lejzorze-Josle jednak wysiada. A jak Lejzor-Josł gra w szachy. Nikt na świecie mu w tym nie dorówna. Słowem zięć ze wszech miar udany.

Jest rzeczą oczywistą, że wszyscy zazdrościli bogaczowi tego „klejnotu”, chociaż tu i ówdzie mówiono, że zięciulek jest troszkę stuknięty. Mianowicie? Ludziom nie podobała się jego zbytnia przemądrzałość (co za dużo, to nie zdrowo). Jeśli chodzi o niego samego, to zachowuje się przesadnie skromnie. Ze wszystkimi jest za pan brat. Bez różnicy. Może to być chłopak, dziewczyna, czy zamężna kobieta. Ludziom nie podobało się również to, że zawsze był zamyślony. Do bóżnicy przychodził później, niż wszyscy. Ledwo zdążył włożyć tałas, a już zaglądał do księgi. Najczęściej do „Beer majim chajim” — „studnia wody źródlanej”, albo do „Ibn Ezra”. Jarmułka zsunięta na bok, a modlić się, nie modli. Nie powiem, żeby widziano w nim coś złego, ale po cichu szeptano sobie od ucha do ucha, że do zbyt bogobojnych Żydów nie należy. No cóż, nie może być tak, aby człowiek posiadał same tylko zalety.

A dalej było tak. Kiedy Lejzor-Josł za nic nie chciał się poddać rewizji, ludzie pewni już byli, że pieniądze są u niego. Każcie mnie — krzychał Lejzor-Josł — przysiąc na Torę, rozetnijcie mnie na kawałki, smaźcie mnie w ogniu, ale nie przetrząsajcie moich kieszeni.

Tu już reb Juzipl nie wytrzymał.

— Ty — krzyknął — taki owaki! Zasłużyłeś na to, aby cię... cię... już nie wiem na co... Czy nie widzisz, jak nasz gość cierpi? Wszyscyśmy mimo wstydu, zgodzili się na przetrząsanie naszych kieszeni, a ty jeden chcesz być wyjątkiem? Tak czy inaczej, albo się przyznasz i sam oddasz pieniądze, albo pokażesz kieszenie! Igrać chcesz z całą gminą żydowską? Przecież my cię to zaraz... nie wiem co?

Jednym słowem, ludzie pochwycili pięknego młodzieńca i położywszy go siłą na podłodze, zaczęli przetrząsać jego kieszenie. I co wytrząsnęto? Zgadnijcie. Obgryzione kości z ćwiartki kury i kilka tuzinów świeżych pestek po dopiero co zjedzonych śliwkach. Macie pojęcie, jak to się ludziom spodobało? Macie pojęcie, jak on sam i jego teść wyglądali? Nasz rabin Juzipl nie mógł znieść takiego wstydu i odwrócił się. Nie mógł nikomu spojrzeć w oczy.

I kiedy ludzie rozeszli się do domów, aby po poście coś zjeść, to po drodze nie przestawali mówić o „skarbie” wytrząsnętym z kieszeni „klejnotu” bogacza. Pękali ze śmiechu. Tylko reb Juziplowi nie było do śmiechu. Szedł sam z opuszczoną głową. Był zmartwiony i zboląły. Nie mógł nikomu spojrzeć w oczy. Jakby z jego to kieszeni wytrząsnęto te kości i pestki.

Żyd z okrągłymi oczami widocznie zakończył swoją relację, bo znowu zapalił papierosa. Wtem ktoś zapytał:

— A co z pieniędzmi?

— Jakie pieniądze?

— Co znaczy jakie pieniądze? Tysiąc osiemset.

— Ach, te, te — odpowiada rozciągając dźwięki liter. Te tysiąc osiemset? Przepadły.

## Wytrząsnęli z kieszeni według Szolem-Alejchem

Wpisany przez Redakcja: Samuel Baranowski

Wtorek, 07 Sierpień 2018 00:00 -

---

— Jak to przepadły?

— Prze-pad-ły!